

Kilworth Garry

Biały szum

„Nowa Fantastyka” - wrzesień 1990

Mój pradziadek, w wieku lat osiemdziesięciu przykuty na stałe do łóżka, był swego czasu przysięgłym kibicem amerykańskiego futbolu. Godzina, o której w każdą niedzielę pokazywano tę grę w brytyjskiej telewizji, stanowiła dla niego ukoronowanie całego tygodnia. Nie miał pojęcia o zasadach gry, ale był nią zafascynowany. Stanowiła dla niego cześć składową obcej kultury, którą obcy mogli oglądać, ale w żadnym wypadku zrozumieć; równie dobrze mogła to być jakaś ceremonia Azteków albo taniec Maorysów. Pewnego dnia komentator postanowił wyjaśnić zasady gry nowym widzom i od tej pory mój dziadek całkowicie stracił dla niej zainteresowanie. Fascynowała go kryjąca się za rytuałem tajemnica, a po objaśnieniu wszelka magia zniknęła bez śladu. Znalazł sobie coś innego, o czym nic nie wiedział i zaczął to regularnie oglądać.

Siedziałem przy ulicznym stoliku pod markizą arabskiej kawiarenki. Ben, mój główny inżynier, pił mazgul, rodzaj kawy zbyt gorzki dla mego podniebienia. Był przyzwyczajony do gęstej, brązowej brei, bo wychował się we Włoszech. Ja piłem sok pomarańczowy.

Zapadał wieczór i nad dachami unosił się głos muezinów, nawołujących wiernych do modlitwy. Podejrzywałem, że podobnie jak w niektórych angielskich kościołach, wykorzystujących nagrane na taśmę bicie dzwonów, głosy wydobywały się z umieszczonych na minaretach głośników. Pomimo tego, że byłem (i nadal jestem) szefem Regionalnego Zarządu Telekomunikacji w niepodległym arabskim państwie, nie podoba mi się tego typu nie humanistyczne podejście.

Ben opowiadał o dwóch technikach, którzy ostatnio mieli skontrolować jedną z instalacji na wybrzeżu Morza Czerwonego.

- Nawet tam nie weszli - powiedział. - Byli przerażeni.

Siedziba mojej firmy znajduje się w Londynie i tam właśnie odbywa się nabór personelu do pracy za granicą. Ben, obecnie trzydziestolatek, przyłączył się do nas w wieku dziewiętnastu lat i teraz jego angielski był bez zarzutu. Jego pełne imię i nazwisko brzmiało Peter Benoni i podobnie jak ja siedział w swoim fachu po uszy. Kiedy człowiek odpowiednio wcześniej zacznie zajmować się telekomunikacją, staje się ona jego religią. Ben był właśnie taki. Zjedliśmy mleczne zęby na alfabecie Morse'a, powitaliśmy z zapamiętaniem pojawienie się teleksów, triumfowaliśmy w momencie wprowadzenia łączności satelitarnej, a obecnie czekaliśmy cierpliwie na stworzenie ogólnoswiatowej sieci komunikacji światłowodowej. Jedną z zalet naszej profesji jest to, że wciąż zmienia się i rozszerza, zaś związane z nią tajemnice raczej się pogłębiają niż znikają.

Ben sprawiał wrażenie nieco zdenerwowanego, jakby fakt, że dwaj technicy nie wykonali zleconego im zadania stanowił dla niego osobistą obrazę. Miał za sobą ciężkie przejścia, wiedziałem więc, że muszę cierpliwie znieść jego humory.

- Przerażeni? - zapytałem. Nie mogłem sobie wyobrazić dlaczego dwaj Arabowie mieliby bać się wejść do podstacji kablowej. W tych nie zamieszkałych budowlach nie było nic oprócz urządzeń stanowiących połączenie między napowietrzną linią a poprowadzonym pod powierzchnią morza kablem.

- Właśnie.

- A czego tak się przestraszyli? - Myślałem, że chodzi o terrorystów (czyli występujących przeciwko rojalistycznemu rządowi republikanów), ale odpowiedź Bena zdumiała mnie.

- Mówią, że ta podstacja jest nawiedzona.

- Nie rozumiem.

Jeden z wąsających się po ulicach kundli wślizgnął się pod stół w poszukiwaniu odpadków. Ben odsunął go delikatnie nogą; pies miał na sobie zatrzęsienie kleszczy i pcheł.

- Nie ma wiele do rozumienia. Są bardzo przesądni. - Stracił ze stołu martwą muchę. W jego głosie wyraźnie pobrzmiwała nuta pogardy. - Boją się duchów. Czego można od nich oczekiwać?

- Ja oczekiwałem tego, że wykonają swoją robotę. Nawiedzona? Podstacja? A ten stary fort, w którym spędzili noc? Tam powinno być chyba więcej duchów niż w nowo zbudowanej podstacji kablowej.

Ben wzruszył ramionami. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwile, ale zaczęło robić się ciemno i chciałem znaleźć się jak najprędzej w swoim mieszkaniu. Uzgodniliśmy, że będzie najlepiej, jeśli sami tam pojedziemy. Zorientujemy się w sytuacji, a poza tym jako szef tego rejonu i tak powinienem przynajmniej raz do roku być osobiście przy wszystkich instalacjach. Równie dobrze mogłem właśnie teraz wybrać się na inspekcję Wadi Haalfa.

Znalazłszy się u siebie spakowałem kilka rzeczy, które miałem zamiar ze sobą zabrać. Teraz, kiedy zapadła ciemność i w mieście rozlegało się jedynie szczekanie psów, dźwięki niosły się znacznie dalej niż za dnia. Za cienką ścianą słyszałem Bena; przez prawie pół godziny chodził niespokojnie tam i z powrotem, a jego sandały stuknęły o kamienną podłogę. Potem rozpoczął swoje wieczorne modlitwy. Usiadłem na brzegu łóżka; jednostajne zawrodożenie działało mi na nerwy bardziej niż brzęczenie komara. Zakryłem rękami uszy. Dla religijnych praktyk Bena nie czułem nic oprócz wstrętu, bo sam już dawno odkryłem, że nie ma żadnego Boga.

Wyruszyliśmy z samego rana. W naszym Land Roverze oprócz zapasów znajdowały się również dwa karabiny, jako że aktywność terrorystów przybrała ostatnio alarmujące rozmiary. Niedawno jacyś republikańscy ekstremiści porwali Bena i chociaż udało mu się uciec, to żeby wrócić do cywilizacji musiał przez trzy dni maszerować na piechotę przez pustynię. Charakterystyczne jest to, że według jego słów tym, co utrzymywało go przy życiu była jego wiara. Kiedy zapytałem go, co właściwie przez to rozumie, wdał się w jakiś skomplikowany wywód; zdaje się, że jego argumenty były skoncentrowane wokół przekonania o potrzebie wiary bez prób znalezienia niezaprzeczalnych dowodów.

- Obecność dowodów neguje sens istnienia wiary - powiedział - zaś bez wiary wszyscy niczym byśmy się nie różnili od automatów.

Przez jakieś pięćdziesiąt mil opony toczyły się z szumem po gorącym asfalcie, a potem skręciliśmy z szosy i wjechaliśmy na nie utwardzoną drogę, prowadzącą między dwoma łańcuchami górskimi. Ben prawie się nie odzywał, więc nie pozostawało mi nic innego, jak przyglądać się skalistym rumowiskom. Usiłowałem zwalczyć rozpacz, która najczęściej przypominała sobie o mnie w chwilach takich jak ta, ale był to uparty przeciwnik, pragnący za wszelką cenę mnie zniszczyć.

Zatrzymaliśmy się na noc u stóp skał, wyrastających z piasku niczym języki zastygłej lawy. Wyciągnąłem przygotowaną poprzedniego wieczoru butelkę szkockiej i od razu wyczułem dezaprobatę Bena. On zajął się przygotowywaniem obozowiska, a ja spokojnie się upiłem.

Leżałem na wznak w spowijającej pustyni ciszy i wpatrywałem się w gwiazdy. Myślałem o Sally. Sally zginęła w katastrofie lotniczej w drodze do mnie. Długo nie mogła się zdecydować, ale kiedy wreszcie to uczyniła, napisała, że natychmiast wyrusza w drogę. Tak się złożyło, że kiedy otrzymałem list wiedziałem już, że ona nie żyje. Podobno na pokładzie samolotu była bomba, ale tak naprawdę to nikt nic nie wiedział. Nigdy nie zdołałem pojąć, dlaczego właśnie Sally? Wiem, wiem, dlaczego ktokolwiek, ale Sally... Ona dosłownie kipiała żądzą życia. Dlaczego nie jakiś sukinsyn, bez którego świat od razu by lepiej wyglądał? Dlaczego nie jakiś samobójca, który i tak by zginął? Wiem, że tego typu rzeczy nigdy nie mają sensu, ale powinny, do cholery. Byłem pewien, całkowicie pewien, że gdyby istniał jakiś Bóg, na pewno nie stałby w ten sposób mojej Sally. Przez całe życie nie robiła nic innego, tylko chwaliła Jego imię i pracowała ku Jego chwale. Dlaczego miałby zabijać kogoś spośród Swoich najgorliwszych wyznawców, czy nawet dopuścić do tego, żeby umarła? Nie, to nie miało sensu, a tym samym oznaczało, że nie ma żadnego Boga. Ben tracił czas modląc się do pustki. Po śmierci nie należało się już niczego spodziewać - i to właśnie było najgorsze.

Dokończyłem butelkę, cisnąłem ją w skały i z zadowoleniem usłyszałem odgłos rozbijanego szkła. Mimo wszystko nadal było mi trudno zasnąć. Już po jednym dniu na pustyni zaczyna się na wszystko patrzeć w nowy, odmienny sposób. Nuda mijanych mila za milą piasku i skał musi odbić się w jakiś sposób na umyśle. Wydawało mi się, kiedy jeszcze nie znałem pustyni, że tego rodzaju miejsce wpływa korzystnie i pobudzająco na procesy myślowe; w rzeczywistości dzieje się akurat odwrotnie. Człowiek zamyka się w kręgu powracających bez końca myśli i jeśli w porę się nie spostrzeże, zaczyna po pewnym czasie tłumaczyć je na zjawiska wizualne. Miraże. Za każdym razem nie mogę wyjść ze zdumienia, jak szybko pusty, monotony krajobraz potrafi wyrzucić swe piętno nawet na aktywnym umyśle. Po krótkim spacerze po pustyni nawet zwykły płonący krzak może się wydać czymś nadprzyrodzonym.

Dwa dni później w samo południe dotarliśmy do celu. Przez ostatnich kilka wyboistych mil w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy. Jakaś sprzeczka bez znaczenia rozżłościła nas obu - na pustkowiu nietrudno o tego typu rzeczy. Zwykle zapomniało się o tym zaraz po powrocie do miasta.

Podstacja wznosiła się na górującym nad otoczeniem pagórku. Miedzy nim a morzem, a także na wiele mil w lewo i w prawo, rozciągały się nadbrzeżne mokradła. Była to typowa delta rzeki, gdzie w porze deszczowej wszystko niknęło pod warstwą wody, ale obecnie woda sięgała zaledwie do kolan, dostarczając życiodajnej wilgoci rosnącej wokół podstacji trzciny.

W stojącym wysoko na niebie słońcu jej brązowe łodygi sprawiały wrażenie niezwykle kruchych, kołysząc się delikatnie w podmuchach gorącego, wiejącego znad Morza Czerwonego wiatru.

Roilo się tu od owadów unoszących się chmurami nad szczytami trzciny; spokojny, tajemniczy krajobraz, niezmienny od tysięcy lat. Cała okolica pogrążona była w zadumie nad przeszłością. Słychać niemal było szeptań opowieści o łodziach z trzciny i papirusu, o niemowlętach pozostawionych na łasce losu w wodoszczelnych kołyskach, o rybakach, myśliwych i prymitywnych religiach, zaś rozpalony, skalisty i piaszczysty ład zdawał się być pogrążony w spowodowanej jakąś niewyobrażalną niesprawiedliwością rozpacz.

Znajdująca się na szczycie wzgórza podstacja była jedynym obiektem, wszystko jedno, naturalnym czy sztucznym, który łączył nas ze współczesnością. Docierał do niej podwodny kabel telefoniczny z Kairu. Była to niewyraźna, prostokątna budowla, mająca za zadanie pomieścić urządzenia kontrolne i przesyłowe.

Od strony lądu docierał do niej rząd drewnianych słupów, podtrzymujących druty prowadzące do stacji przekątnikowej w najbliższym, położonym za górami mieście.

Ruszyliśmy w górę zbocza, kiedy nagle Ben zatrzymał się i odwrócił, spoglądając na błyszczące w promieniach słońca mokradła

- Co się stało? - zapytałem. Uciszył mnie gestem dłoni.

- Słuchaj!

Zrobiłem, co mi kazał, ale słyszałem tylko stację. Ktoś zostawił włączony głośnik, z którego dobiegał biały szum.

- Nic dziwnego, że technicy tak się przestraszyli - powiedział po dłuższej chwili Ben.

- Czego? Przecież nic nie słychać.

- Otóż to, a powinniśmy słyszeć bardzo dużo. Te mokradła roją się od najróżniejszych stworzeń: ptaków, żab, cykad. Zwykle wrzeszczą jedno przez drugie.

Miał słuszość. Nie zwróciłem uwagi na niesamowity spokój. Ben skierował się w dół zbocza, a ja poszedłem za nim. Jeżeli coś go dręczyło, powinniśmy to wyjaśnić zanim wejdziemy do środka. Nie bardzo mogłem zrozumieć, czym się tak bardzo przejmuję; rzeczywiście, na mokradłach panowała niezwykła cisza. I co z tego?

Kiedy znaleźliśmy się na podmokłym gruncie, Ben nachylił się, szukając czegoś w wysokiej trawie. Było gorąco. Koszulę miałem całą przesiąkniętą potem, uwierał mnie kapelusz i swędziała skóra na głowie. Chciałem jak najszybciej zrobić to, co było do zrobienia i poszukać jakiegoś chłodnego miejsca, żeby odpocząć. Ben wyprostował się, podsuwając mi swoją wyprostowaną dłoń: siedziała na niej mała, zielona żabka.

- No i co? - prychnąłem.

- Są, ale nie wydają żadnych odgłosów - powiedział ze zdziwieniem w swoich ciemnobrązowych oczach.

- Musisz przyznać, że to dość niezwykłe.

Małe, czarne oczka płaza zdawały się być wpatrzone w jakiś odległy, niedostępny dla nas horyzont. Nie wiedzieć skąd przyszło mi na myśl, że żabka siedzi tak, jakby miała zamiar za chwile przykleknąć.

Roześmiałem się głośno. Sytuacja zaczynała się robić coraz bardziej absurdalna, a my przestawaliśmy powoli panować nad naszą wyobraźnią. W powietrzu unosiło się coś złowrogiego, lecz nie mogłem tego zidentyfikować, zaś śmiech pomógł pozbyć się tego uczucia.

Ben wpatrywał się w moją twarz, ale po chwili odwrócił powoli głowę i jego spojrzenie powędrowało gdzieś wysoko ponad moim ramieniem. Patrzył na stację.

- Ona słucha tego - powiedział. Zaczęło mnie to już denerwować.

- Białego szumu? Daj spokój. W kogo się bawisz, w zoologa? Skąd możesz wiedzieć, czego słucha ta żaba, o ile w ogóle czegoś słucha? To szaleństwo, Ben.

W tym momencie powinienem był przejąć inicjatywę, zostawić go, pójść do budynku, wyłączyć głośnik i zająć się kontrolą urządzeń. Gdybym tak postąpił, z całą pewnością Ben otrząsnąłby się z nastroju, który go niespodziewanie ogarnął, zająłby się praktycznymi, związanymi z pracą rzeczami i wkrótce wróciłby do normy. Ja jednak tego nie zrobiłem, tylko czekałem, z każdą chwilą coraz bardziej się niecierpliwiąc, żeby Ben zostawił te swoją żabę i wziął się do pracy.

Wreszcie położył ją na ziemi i ruszył pod górę, w kierunku stacji. Poszedłem za nim. Czynienie mu wymówek nie miało żadnego sensu, a poza tym nie należę do autokratycznych szefów. Wolę, kiedy decyzje są podejmowane demokratycznie.

Otworzyliśmy drzwi i weszliśmy do niewielkiego wnętrza. Uderzyła nas fala stęchłego, gorącego powietrza. Budynek stacji przypominał rozgrzany do białości piec.

Rzeczywiście, ktoś zostawił głośnik podłączony do linii. Pod wodą na całej długości kabla były rozmieszczone mikrofony; przez głośnik słyszeliśmy odgłosy morskiego dna. Dzięki mikrofonom byliśmy w stanie zidentyfikować zewnętrzne czynniki, które mogły stanowić zagrożenie dla kabla, jak na przykład ukąszenia rekinów, czy rybackie sieci.

Ben wyłączył głośnik, podłączył do tej samej linii słuchawki, po czym usiadł na zakurzonej ławce i zaczął wsłuchiwać się z natężeniem w biały szum, stanowiący mieszaną wszelkich możliwych odgłosów morskiego dna. Przyglądałem mu się przez chwile, ale nic nie mogłem zrobić, dopóki siedział przy pulpicie, więc wyszedłem, żeby zaczerpnąć trochę powietrza. Sam również miałem zamiar coś sprawdzić, ale chciałem, żeby najpierw Ben skończył swoją robotę i zostawił mnie samego we wnętrzu stacji.

Uważając na węże poszedłem przez mokradła w stronę plaży, gdzie gruby, czarny kabel wyłaniał się z fal oceanu. Jednomasztowy stateczek o trójkątnym żaglu płynął powoli na zachód, kierując się starożytnym szlakiem do Afryki. Odszukałem miejsce, gdzie kabel wyłaniał się z wody niczym jakiś szatański pyton, który postanowił wypełznąć na plażę. Wąż. Szatan. Wszystkie moje skojarzenia były biblijne. Niech to szlag, religijne natręctwa pojawiały się nawet w wędrujących swobodnie myślach. Bóg i wszystko, co było z nim związane zostali chyba wymyśleni przez jakiegoś sadystę, żeby znęcać się nad takimi jak ja.

Musiałem chyba zasnąć; jakiś czas później, może po godzinie, na moją twarz padł cień. Obudziłem się raptownie. Nade mną stał Ben z karabinem pod pachą i specyficznym wyrazem oczu, który zawsze oznaczał, że coś go zaniepokoiło.

- Co się stało? - zapytałem.

- Chodź i posłuchaj - odpowiedział.

Poszedłem za nim do stacji zastanawiając się, co skłoniło go do zabrania broni z Land Rovera. Czyżby spodziewał się jakichś kłopotów? Zapytałem go o to, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Kiedy znaleźliśmy się we wnętrzu, pokazał mi ruchem ręki, żebym założył słuchawki. Uczyniłem to i w jednej chwili moja głowa wypełniła się białym szumem, przez który przebijał się przeciągły grzmot i głuche dudnienie. Odgłos rozbijających się fal? Co to miało znaczyć? Zdjąłem słuchawki i spojrzałem pytająco na Bena.

- Słyszałeś?

- Co słyszałem?

- Odgłosy bitwy. Z samego dna morza. Zapis w zimnych prądach morskich - pamiętasz ten artykuł w "Comms Monthly"? Wyciąłem go i zostawiłem ci na biurku.

Upał stawał się nie do wytrzymania, a sytuacja coraz bardziej dziwna.

- Sprawdziłeś już wszystko? - zapytałem, a on spojrzał na mnie z roztargnieniem.

- Artykuł - powtórzył z uporem. - O amerykańskiej łodzi podwodnej. W ubiegłym roku prowadzili na niej badania. Zainstalowali na dnie morza mikrofony i usłyszeli przez nie odgłosy bitwy morskiej. Mówiłem ci o tym.

Teraz sobie przypominałem.

- Tak, rzeczywiście. Doszli do wniosku, że zimne prądy morskie mogą zawierać zapis fal dźwiękowych...

- Otóż to. Zimna, ciężka woda nie rozprasza się tak łatwo ani nie ulega ogrzaniu przez cieplejszą.

Zataczające kręgi prądy przenoszą jej masy tuż nad dnem oceanów...

- I ona ma zawierać zapis dźwięków?

- Tak, jak taśma magnetyczna. Kiedy naukowcy zbadali nagrania tamtych odgłosów doszli do wniosku, że pochodzą one z pierwszej wojny światowej.

- To były tylko domysły. Myślisz, że mamy do czynienia z czymś podobnym? Odgłosy bitwy? Tylko z jakiej wojny: Sześciodniowej, czy Jom Kipur?

Ben potrząsnął energicznie głową.

- Nie, nic tak świeżego. Niektóre z zimnych prądów w tym rejonie nie zmieniły swego biegu od tysięcy lat.

- I co z tego?

- To, że słyszymy odgłosy bardzo dawnej bitwy: ucieczki przez Morze Czerwone. Posłuchaj jeszcze raz.

Miał zupełnie dzikie spojrzenie, więc bez sprzeciwu założyłem słuchawki. Chciałem powiedzieć coś banalnego o tym, żeby zrobić to, po co tu przyjechaliśmy, a potem ewentualnie porozmawiać o różnych dziwnych zjawiskach, ale atmosfera była zbyt napięta. Odczuwałem psychiczny nacisk, zmuszający mnie

do tego, żeby poddać się jego nastrojowi. Postanowiłem, że posłucham, potwierdzę, że istotnie może mieć rację, a potem zaproponuje, żebyśmy wzięli się do pracy, zanim zastanie nas tutaj noc. Słuchałem więc.

- Zamknij oczy i skoncentruj się - powiedział Ben.

Zrobiłem, co mi kazał. Problem ze słuchawkami polega na tym, że kiedy się je założy to tak, jakby odcięło się całkowicie od reszty świata. Człowiek znajduje się w zupełnie innym, nowym świecie i przekonuje się, że cała jego uwaga jest skierowana na wypełniające mu głowę dźwięki. Po chwili rzeczywiście spod grubej warstwy białego szumu zaczęły do mnie docierać słabe krzyki, coś jakby turkot kół, zgrzyt metalu... Usiłowałem odrzucić te skojarzenia i zastąpić je widokiem zahaczających o kabel sieci lub atakującej go, drapieżnej ryby, ale bez powodzenia. To były zupełnie inne odgłosy. Słyszałem je już wielokrotnie i w niczym nie przypominały one tego, co teraz dobiegało ze słuchawek. To były nowe dźwięki, których nigdy jeszcze nie słyszałem. Poczulem ogarniające mnie podniecenie. Ben miał rację. Wiedziałem jednak o tym, że jeśli słucha się czegoś z wielkim natężeniem, a przy tym ma się pewne wyobrażenie, co chciałoby się usłyszeć, siła sugestii pomaga wypełnić wszelkie luki i braki. Starłem się o niczym nie myśleć i zdobyć na maksimum obiektywizmu, ale wciąż słyszałem krzyki, uderzenia - właśnie, czego? Brązowych mieczy o tarcze? A te ostre trząśnięcia to chyba bicze? Spojrzałem na Bena; w jego oczach płonął dziwny blask. Zdjąłem słuchawki.

- Musimy to nagrać i dać do analizy - powiedziałem.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. - Przeniósł wzrok na pulpit, a potem ponownie na mnie. - To na pewno nie jest dobry pomysł.

Zdziwiłem się. Ben był jednym z tych, dla których nie istniało nic bardziej pasjonującego od wynajdywania nowych zastosowań dla urządzeń telekomunikacyjnych. Uwielbiał wszelkie eksperymenty. O co, do diabła, mu teraz chodziło?

- Dlaczego tak uważasz? - zapytałem spokojnie.

- Moglibyśmy usłyszeć coś, co by nas zniszczyło.

Jego oczy przygały i zaczął coś majstrować koło bezpiecznika. Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale jego zachowanie sprawiło, że poczułem na grzbiecie gęsią skórę.

Wskazał ruchem głowy na słuchawki, z których wciąż wydobywały się odgłosy bitwy.

- To tutaj - powiedział powoli - to ucieczka z Egiptu. Mojżesz i jego ludzie.

- Mojżesz - powtórzyłem.

- Tak jest.

Podszedł do małego okienka i spojrzał na morze. Byłem cały mokry; czułem, jak strużka potu ścieka mi po grzbiecie. Ben, całkowicie spokojny, trzymał karabin w zgięciu ramienia. Zauważyłem, że broń jest już odbezpieczona. Serce waliło mi w szalonym tempie, ale myśli miałem jak z ołowiu.

- Chociaż przez morze prowadziła droga, to wszędzie dokoła musiały wznosić się pionowe ściany fal - podjął. - Szli przez tunel w wodzie, która chłoneła wszystkie odgłosy. Przejście przez Morze Czerwone. Ucieczka z Egiptu. Wiesz, gdzie to się wydarzyło; tutaj.

Ze słuchawek dobiegły mnie przeraźliwe wrzaski. Ryk spadającej z olbrzymiej wysokości wody. Rżenie wystraszonych koni. Ostre okrzyki ludzi nawykłych do wydawania rozkazów. Uderzenia batów, skrzypienie skórzanych uprząży. Turkot kół rydwanów. Nie, po prostu przypisywałem znaczenie bezkształtnemu szumowi. Złudzenie akustyczne.

- To niesamowite - usłyszałem mój własny szept. - Pustynia osłabia nasze władze umysłowe, a silne sugestie pozostawiają trwałe ślady. Dajemy się zwodzić naszym wyobrażeniom. Musimy uważać z tworzeniem teorii, bo... nasze zmysły nie działają tak, jak zwykle. Zbyt łatwo wyciągamy wnioski. Na przykład ta żaba...

- Żaby i cykady? One wiedzą. Czekają, żeby usłyszeć.

- Co usłyszeć?

Spojrzał mi prosto w oczy. Był zupełnie opanowany.

- Głos Boga - powiedział po prostu.

Zachwiałem się na moim stołku. Chociaż słowa zostały wypowiedziane cicho i spokojnie, wydawało mi się, jakby wrzasnął je ze wściekłością. Na chwilę straciłem zupełnie orientację i musiałem zebrać wszystkie myśli, żeby ją odzyskać.

- Głos Boga - powtórzyłem bez pośpiechu.

- Bóg przemówił do Mojżesza, a jeśli to co słyszymy to odgłosy ucieczki z Egiptu, powinniśmy niebawem usłyszeć głos Boga. Nagle zrobił kilka kroków, sięgnął nad moim ramieniem i wyciągnął wtyczkę. Zapadła cisza.

- Co ty robisz, do diabła? - krzyknąłem. Spojrzał na mnie twardo.

- Nie możemy tego usłyszeć. To nie było przeznaczone dla nas. Wiedzielibyśmy, gdyby dane nam było usłyszeć głos Boga. Nie możemy niszczyć wiary.

- Oszalałeś!

- Być może, ale nie chcę ryzykować. Może Bóg wcale nie przemówił do Mojżesza, może się mylę, ale nie wolno mi ryzykować.

Znałem jego poglądy na temat "niezbitego dowodu", który jakoby mógł zniszczyć duszę i potrzebę wiary w śmiertelnym człowieku. Ale co z moimi potrzebami? Czy miałem jakikolwiek wybór? Ja również wiedziałem, czego chcę. Dostrzegłem drogę ucieczki od rozpacz, która dręczyła mnie już od tak dawna. Wreszcie mogły się skończyć nocne koszmary i obsesyjne myśli. Jeżeli o mnie chodziło, to było mi wszystko jedno, czy Ben pójdzie do nieba, czy piekła, pod warunkiem, że da się udowodnić istnienie któregośkolwiek z tych miejsc.

Sięgnąłem do wtyczki.

- Możesz sobie zatkać uszy. Musze wiedzieć, czy jeszcze kiedyś zobaczę Sally. Chcę... - Poczulem uderzenie w głowę i zatoczyłem się, na pół upadając, a na pół pełznąc, w stronę otwartych drzwi.

- Ty sukinsynu... - stęknąłem, ale on wypchnął mnie na zewnątrz. Zacząłem uciekać, chwiejąc się na nogach i potykając; bałem się, iż Ben znajduje się w takim stanie, że w każdej chwili może strzelić mi w plecy. Żołądek skurczył mi się ze strachu, kiedy usłyszałem dobiegające z wnętrza stacji strzały. Domyśliłem się, że zniszczył pulpity, żebym nie mógł już nagrać dochodzących z dna morza odgłosów; zanim udałoby mi się go zreperować, zimny prąd zniknie. Dotarłem do podnóża wzniesienia i ciężko dysząc opadłem na ziemię.

W chwili potem całym obszarem delty wstrząsnęła potężna eksplozja, a gorący podmuch przysypał mnie pyłem i drobnymi kamyczkami. Kiedy odważyłem się podnieść głowę zobaczyłem, że budynek stacji uległ zniszczeniu; ściany jeszcze stały, ale jedyne okno zostało wypchnięte siłą wybuchu, a dach zupełnie się zawałił. We wnętrzu szalał pożar.

- Ben, ty sukinsynu! - wrzasnąłem z wściekłością. - Chciałem usłyszeć! Chciałem usłyszeć Jego głos!

Po pewnym czasie ogień przygasł na tyle, że mogłem się nieco zbliżyć. Z okopconych ruin wydobywał się kwaśny odór, a w niebo unosił się czarny dym. Nigdzie nie widziałem ciała, ale znajdowałem się zbyt daleko, żeby zajrzeć do wnętrza. Przyszło mi na myśl, że może Ben wysadził stację celowo, z zewnątrz, a sam uciekł na pobliskie wzgórze, ale raczej byłem skłonny uznać, że wobec zbliżającego się początku końca wiary postanowił zostać jej męczennikiem.

Stacja zostanie odbudowana, ale zanim to nastąpi, zimny prąd przesunie się już w inne miejsce. Może wróci tu znowu nie wcześniej niż za dziesięć, pięćdziesiąt, a może sto lub więcej lat? Poczulem, jak powraca dobrze mi znane uczucie rozpacz. Ben musiał trafić w jedną z trzech beczek z paliwem, które trzymaliśmy tu jako zapas dla naszych pojazdów.

Ben był taki sam, jak mój pradziadek: potrzebował tajemnicy. Mogła to być skomplikowana elektronika, zagadki atomu albo nawet amerykański futbol, ale w jego przypadku było to coś innego: religia.

Odwrociłem się od wznoszącego się w błękitne niebo czarnego dymu pogrzebowego stosu, na którym płonęły resztki Niezbitego Dowodu, wsiadłem do Land Rovera i uruchomiłem silnik. Na mokradłach nastąpiła zmiana: znowu rechotały żaby.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik